PATIO

Bartek Biedrzycki

Matka pracowała w Poliklinice Wojskowej, należącej do Departamentu Spraw Wewnętrznych. Miała gabinet na ósmym piętrze co dla mnie, dzieciaka z przemieść, gdzie domy miały co najwyżej piętro, rzadko dwa, a najwyższe w okolicy bloki mieszkalne z osiedla robotniczego za rzeką były czteropiętrowe, było ewenementem. Z ósmego piętra bowiem widać świat i wszystko inne. Szczególnie z ósmego piętra w mieście stołecznym, bo tam znajdowała się Poliklinika Wojskowa Departamentu Spraw Wewnętrznych. W dodatku ósme piętro nie było wcale ostatnim, więc sama wizja tego, co widać z wyższych powodowała wręcz zawrót głowy. Aż ciarki przechodziły mnie na myśl o tym, jak to byłoby zobaczyć rodzinną suburbię z takiej wysokości. To było kilka sporo wyżej wyżej niż wojskowy maszt łączności radiowej przy posterunku wśród pól za miasteczkiem, tam, gdzie zaczynały się łany upraw eksperymentalnych, rowy melioracyjne, łąki i szpalery topoli.
W mieście stołecznym szpalerów topoli ani rowów melioracyjnych nie było. Pola też ciągnęły się tylko przez jakiś czas, kiedy jechało się podmiejskim autobusem. Potem były już tramwaje, bruk, asfalt, witryny sklepowe, powojenne kamienice i cały ten gwar. Piszę o tramwajach a nie autobusach czy kolei podziemnej, bo właśnie tramwajem jechało się z krańcówki podmiejskiego autobusu pod szpital gdzie matka pracowała, przy Alei Astronautów. Potem wielka brama z portiernią, ogromny hol, długie korytarze i windy – nietypowe, wielkie, szerokie jak stół rozłożony na Wigilię, bo musiały pomieścić przecież wózki z pacjentami. A potem wreszcie ósme piętro i okna od podłogi aż po sufit, jak w Mieście w chmurach na Bespin, tyle tylko, że nie w chmurach.
Z okien tych widać było wszystko i jeszcze cały świat. Z jednego korytarza widać było drapacze chmur w centrum, z drugiej strony tramwaje jeżdżące po Alei Astronautów, z trzeciej ścianę sąsiedniego skrzydła Polikliniki. Na ostatniej stronie były gabinety z oknami wychodzącymi do wnętrza obiektu. I to widok z tych okien fascynował mnie najbardziej. Bowiem gdy spojrzało się w dół, wtedy pod stopami, ograniczony ze wszystkich stron budynkami szpitala, niczym podwórze-studnia na przedwojennej pierzei, ukazywał się moim zafascynowanym, kilkuletnim oczom tajemny ogród.
- To takie małe patio – powiedziała matka, kiedy pierwszy raz zobaczyłem ten dziw nad dziwy i zapytałem ją o to.
„Patio” było dla mnie nowym słowem. Smakowałem je po cichu, w samotności, zajęty sobą w kącie jej gabinetu. Siedziałem po turecku, na kolanach miałem rozłożony gruby jak cegła kalendarz fotograficzny UNICEFu i próbowałem odcyfrowywać napisy, chociaż nie posiadłem jeszcze do końca sztuki czytania. Należy też wziąć poprawkę na fakt, że podpisy w książkowym kalendarzu UNICEFu były dużo bardziej skomplikowane i dotyczyły spraw trudniejszych i o wiele egzotyczniejszych, niż komiksy, nad którymi spędzałem wolny czas i na których doskonaliłem trudną sztukę samodzielnego czytania.
„Patio” – szepnąłem sam do siebie cichutko co jakiś czas, wertując czarno-białe zdjęcia hebanoskórych uczennic z Madagaskaru, rozśmianych moskiewskich pionierów o płowych włosach i ciemnych oczach, eskimoskich brzdąców skrytych w rodzinnym igloo czy nastolatków z nie mniej egzotycznych od słowa „patio” przedmieść Monte Video. Potem odłożyłem kalendarz, podrepłałem do okna i jak urzeczony wpatrywałem się długo w widok zieleni uwięzionej między ogromnymi skrzydłami szpitala. Tajemny ogród rozpalił dziecięcą wyobraźnię i został ze mną na długo.
W pracy u matki bywałem rzadko, od wielkiego dzwonu więc, nie było w związku z tym zbyt wielu okazji, aby kamień oczy widokiem patio, chociaż pamięć i wyobraźnia wracały do niego regularnie. Gdy przy której z nielicznych wizyt spytałem, czy można tam wchodzić i usłyszałem, że owszem, byłem tak przejęty i uradowany, że nawet nie poprosiłem, abyśmy to zrobili. Ostatecznie nigdy jakoś nie było okazji – zawsze byliśmy w biegu, były rzeczy do zrobienia, trzeba było się zająć czymś innym. Ja zresztą nie pytałem ani nie prosiłem, czułem, że jeśli można tam wejść, to w końcu się to stanie.
Minęły lata, potem dekady. Dwie i pół. Gabinet matki wędrował między piętrami, między skrzydłami Polikliniki, patio zniknęło zza jej okna, zniknęło też z mojej wyobraźni, chociaż nie z mojej pamięci. Sam byłem już dawno dorosły i miałem własny gabinet, chociaż nie na ósmym piętrze, tylko w podziemiach gmachu w starej dzielnicy, tuż obok przełomki. Do Polikliniki trafiliśmy z żoną i naszą córką pchającą się na świat, tylez zawzięcie, co jednak mało skutecznie, bo obrzęd przyjścia się przedłużał. Pojawiliśmy się tam o świcie, potem wybito południe, wreszcie nadeszła i przeszła pora obiadowa. Zjechałem na parter jedną z tych powiększonych wind, chociaż teraz wiedziałem już, że nie są wcale tak wielkie – sam widywałem i używałem jeszcze większych.
Siedziałem w stołówce w pośpiechu łykając tłuczone ziemniaki z mięsem i zawiesistym sosem. I właśnie wtedy podniosłem głowę i ujrzałem, zaniechane wspomnienie nagle wskoczyło na swoje miejsce. Oto bowiem ujrzałem, po raz pierwszy w swoim życiu na poziomie wzroku, a nie z wysokości kilkudziesięciu metrów, patio. Tajemne, magiczne, mityczne miejsce, które tak mnie zafascynowało kiedy byłem małem. Dojadłem w pośpiechu, odniosłem zastawę i wymknąłem się przez uchylone, przeszklone drzwi, chociaż niekoniecznie były one przeznaczone do ruchu osobowego, a tym bardziej w wykonaniu Klientów Polikliniki.
Z góry miejsce wyglądało na malutkie, ale z bajki czytanej przez babkę o odważnej kurce, co leciała samolotem wiedziałem, że z góry wszystko wydaje się mniejsze. Mój dziecięcy umysł założył więc, że patio musi być dość pokaźne, w sam raz jak plac zabaw w Parku Kultury, albo i większe. W rzeczywistości, biorąc nawet poprawkę na to, że sam byłem teraz kilkukrotnie większy niż wtedy, teren nie robił wrażenia. Mały skwerek, kępa drzew, trochę krzewów, dosłownie dwie alejki na krzyż i jedna ławka gdzieś w cieniu tych drzew. Drzewek bardziej. Rachitycznych miejskich robaczków, trwających pośród betonu raczej siłą wściekłości niż woli.
Można by pomyśleć, że patio przy spotkaniu twarzą w gałęzie było rozczarowujące, ale nie takie uczucia mi wtedy towarzyszyły. To było trochę jak odnalezienie pirackiego skarbu z dzieciństwa, który okazuje się nie być skarbem, albo jak spotkanie starego znajomego, z którym nie bardzo jest już o czym rozmawiać. A jednak i taki skarb oglądamy z pewną fascynacją, przekładając bezwartościowe biboloty, które budzą jednak pewien sentyment, i słów dawnego przyjaciela słuchamy z pewną ciekawością, zastanawiając się i odgadując kim się stał przez lata. Przymknąłem oczy i wróciłem na oddział położniczy. Patio odłożyłem do tej szuflady w pamięci, gdzie leżą rzeczy załatwione i gotowe.
Zeszłego lata byłem w Poliklinice na chwilę, w jakichś sprawach, po jakieś papiery czy odpisy. Przechodząc korytarzem obok stołówki zerknąłem przez przeszklone ściany i okna po drugiej stronie, od podłogi do sufitu. Drzewa wyciętо, skwer zaorano i na całym terenie wylano asfalt. W miejscu patio był teraz dodatkowy parking, sądząc z wetkniętych pod przednie szyby identyfikatorów – przeznaczony do użytku kierownictwa obiektu.

Ziny to nieoficjalne wydawnictwa poświęcone sprawom, które uważasz za ważne. Mogą być o muzyce, hobby, sprawach osobistych, społecznych, o tym, o czym nikt nie chce mówić i o czym powinno się mówić głośno. Mogą być to komiksy, zdjęcia, teksty, poezja...

Czytaj ziny, rób ziny, wspieraj niezależne, wolne głosy.

Pobierz więcej darmowych zinów z www.gniazdoswiatow.net

Międzynarodowy Miesiąc Zinów

Lipiec 2025